JUBILEUSZ 60-LECIA PRACY TWÓRCZEJ BARBARY KRAFFTÓWNY

Mam chcicę na życie

Barbara Krafftówna świętuje jubileusz 60-lecia pracy artystystycznej, grając monodram „Błękitny diabeł", opowieść o Marlenie Dietrich i po trosze o samej sobie.



Barbara Krafftówna

BEW

HANNA DOBRZYŃSKA: Marlena Dietrich grała do końca swych dni i w każdej sytuacji. O tym opowiada pani monodram „Błękitny diabeł". Pani też ma taką niepohamowaną potrzebę publiczności?

BARBARA KRAFFTÓWNA: Mam, ale lekko pohamowaną. Każdy z nas potrzebuje publiczności, czyli stara się unikać samotności i chce być z ludźmi. W teatrze najważniejszy jest aktor. W filmie jest nieco inaczej: aktor po prostu czasami już tylko wspomaga technikę. Mam wrażenie nawet, że w wielu filmach postać zostaje odsunięta na dalszy plan. Pozostaje mi mieć nadzieję, że w teatrze nic nie zastąpi żywego człowieka.

Minęło 60 lat od pani artystycznego debiutu. Ma pani ciarki na plecach, wychodząc przed publiczność?

Uczono mnie, że ciarki na plecach są efektem nieprzygotowania. Zamiast ciarek czuję szalone napięcie. Hasło „kurtyna w górę" powoduje u mnie albo złapanie oddechu, albo wypuszczenie nadmiernego zapowietrzenia. Gdy zabieram się za kolejną rolę, w moim mózgu włącza się specjalny guzik i rozpoczyna się akcja warsztatowa. Po ciężkiej pracy przychodzi moment konfrontacji z publicznością. Aktor stojący przed kamerą nigdy nie dozna tak niesamowitych uczuć jak ten, który gra przed żywymi ludźmi. W teatrze występuje coś takiego, co można nazwać sprzężeniem zwrotnym. W naszym aktorskim języku mówi się na przykład: O, dzisiaj mamy zdolną publiczność.

A zdarza się niezdolna?

Oczywiście. I przed nią ciężko grać. Dla niej trzeba grać na specjalnej fazie. Włącza się ją, kiedy ze strony widowni bije całkowita tępota albo absolutna dziewiczość. To oczywiście wielkie wyzwanie dla aktora. Dziś zatarły się różnice pomiędzy publicznością a aktorami, bo i jedni, i drudzy są stępieni przez telewizję jako przedmiot stałego użytku.

Wiodła pani życie aktorki wędrownej. Pracowała pani w Gdyni, Krakowie, Warszawie, Łodzi, Wrocławiu i USA. Czy z którymś z tych miejsc jest pani jakoś szczególnie związana?

Urodziłam się i wychowałam w Warszawie. Tu przeżyłam najważniejsze momenty w moim życiu. Z drugiej strony mam duszę podróżniczą, wędrowną. Czuję w sobie wciąż niezaspokojoną potrzebę poznawania nowych miejsc i ludzi. Jak powiadał Witkacy: chcica, nieustająca chcica. Mam taką chcicę na życie. Chętnie poduczyłabym się jakichś nowych zawodów, jak tapicerka czy stolarstwo. Z pewnością nie zaszkodziłoby mi to w aktorstwie.

> Niektórzy uważają, że powinnam poświęcić się komedii, a są tacy, którzy twierdzą, że najlepiej się sprawdzam w poważnym repertuarze. Ale wciąż znajduję złoty środek

„Błękitny diabeł" to sztuka, którą Remigiusz Grzela napisał specjalnie dla pani. Podobno zawsze wzbraniała się pani przed monodramami. Co sprawiło, że na ten się pani skusiła?

To prawda, unikałam monodramów. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego aktorzy wyżyci zawodowo decydują się wziąć na warsztat monodram, chyba najtrudniejszą formę teatralną. Według mnie ta forma jest z lekka zboczeniem. Ja ze sobą na scenie – to przecież onanizm artystyczny. Osobiście do tego, żeby grać, potrzebuję partnera. Partner jest dla mnie potężną inspiracją artystyczną. Dzięki interakcjom zachodzącym pomiędzy aktorami rozpoczyna się sztuka, prawdziwa twórczość.

To w takim razie jak się pani czuje sama na scenie, grając „Błękitnego diabła"?

Doskonale, i sama się temu dziwię. Monodram mnie dopadł, choć go tak unikałam. I to w dodatku w momencie, gdy miałam świętować jubileusz 60-lecia pracy artystycznej. Pomyślałam, że to zrządzenie losu. Skoro jestem jeszcze sprawna fizycznie i pamięciowo, a ktoś specjalnie dla mnie pisze monodram, to muszę z pokorą dla tej najcięższej formy sztuki stawić jej czoła.

Świętuje pani jubileusz w warszawskim Teatrze Dramatycznym, który obchodzi w tym roku 50. urodziny. Historia zatoczyła koło, bo właśnie 50 lat temu pani też występowała na tych deskach. Czy takie koła historii mają dla pani znaczenie?

Nawet więcej, myślę o tym, w jaki sposób pomóc historii w zataczaniu tego koła. Kiedy planowałam jubileusz, już miałam koncepcję, by zacząć jego świętowanie od zagrania na scenie w teatrze w Gdyni, na której rozpoczęła się moja kariera, a następnie zagrać we wszystkich teatrach, w których dotąd pracowałam. Miałam szczęście, że przyszło mi żyć w momencie, kiedy w Polsce eksplodowało wiele talentów. Dookoła mnie było wielu znakomitych artystów, a to inspirowało. Jeśli oglądam jakieś pozycje filmowe bądź telewizyjne, to zapominam o tym, że brałam w nich udział. Podziwiam po prostu dzieło artystyczne. Patrzę na siebie okiem widza, a nie wykonawcy.

Pani uważa, że telewizja psuje aktorów. Sama debiutowała pani w telewizji ponad 50 lat temu. Nic pani przez te lata nie zepsuło?

Nie, bo miałam za dobrą szkołę i tego zepsuć nie można. Uczono nas, że nie możemy stawiać sobie na głowie żadnych krokietów. Trzeba było uczesać przedziałek, ulizać te włosy, nie wyróżniać się na ulicy i nie robić za artystkę. Reżyser Iwo Gall mówił, że widz ma tęsknić nie za aktorami, tylko za postaciami, które oni grają. Teraz to się zmieniło. Aktorzy, szczególnie zniekształceni przez telewizję, chcą, by wiedziano o nich wszystko, a publiczność, też ta zniekształcona, nie wyobraża sobie życia bez kolorowych magazynów ze zdjęciami aktorów. Artyści chcą się wyróżniać poza sceną, a na scenie są tacy sami, papierowi. Zaburzyły się proporcje i to mnie martwi. Nie rozróżniam polskich piosenkarek. Wszystkie śpiewają tak samo.

Przez szeroką publiczność jest pani wciąż postrzegana jako aktorka komediowa...

Moja publiczność jest podzielona. Część uważa, że powinnam poświęcić się wyłącznie komedii, a są tacy, którzy twierdzą, że najlepiej się sprawdzam w poważnym repertuarze. Do tej pory znajduję złoty środek. Oczywiście mam świadomość, że przyjdzie naturalny okres zmian i stanę się prawdziwą staruszką nienadającą się już do grania w teatrze. Gdyby zwalił się na mnie długi okres jednolitości, czyli na przykład wyłącznie poważne role, to pewnie bym próbowała się zbuntować. Myślę, że każdy aktor potrzebuje płodozmianu.

A są jeszcze jakieś role, które chciałaby pani zagrać?

Oczywiście. Dobre. Nigdy nie miałam marzeń, żeby zagrać na przykład Ofelię. Nie wiem, co mnie jeszcze czeka. Są osoby, które twierdzą, że na starość wraca się do dzieciństwa. W dzieciństwie dwa, trzy lata różnicy między dziećmi to przepaść. Widzę po swoich koleżankach, że w naszym pokoleniu te różnice są równie ekstremalne. Podobno do osiemdziesiątki wszystko jest w porządku, dopiero później zaczyna się psuć. Wiem, że nie ma reguły. Kiedyś usłyszałam, że gdy przeskoczy się dwie siódemki (77), czyli dwie siekierki, to później żyje się długo i szczęśliwie. Nie byłam pewna, czy doczekam tych siekierek. Doczekałam i żyję. Mam teraz nowy cel. Doktor Michał Sadowski, mój serdeczny przyjaciel, oświecił mnie, że teraz muszę przeskoczyć trzy kaktusy, czyli 111. No, nie wiem, jak to będzie...

W przyszłym roku, na 80-lecie swoich urodzin powinna pani przygotować kolejny monodram...

Grzela zapowiada, że napisze coś dla mnie. Ale ja się boję, bo pewnie musiałabym na scenie dokonać wiwisekcji. Zobaczymy. Mogę pani zdradzić, że człowiek przez całe życie się uczy. Ale podobno głupim umiera. I to mnie trochę martwi.

Wybitna aktorka i piosenkarka



EAST NEWS/POLFILM

Barbara Krafftówna i Zdzisław Maklakiewicz

Wybitna i wszechstronna aktorka, uwielbiana przez publiczność zarówno jako zabawna Honorata z „Czterech pancernych", jak i wzruszająca Felicja z „Jak być kochaną".

Barbara Krafftówna urodziła się w Warszawie, ale ukończyła Studio Dramatyczne Iwo Galla przy Teatrze Starym w Krakowie. Na scenie zadebiutowała zaś w gdańskim Teatrze Wybrzeże, gdy jako osiemnastolatka w 1946 roku wystąpiła w sztuce Tadeusza Gajcego „Homer i Orchidea".

Pracowała z tak wybitnymi reżyserami teatralnymi jak Konrad Swinarski, Kazimierz Dejmek i Erwin Axer. Po raz pierwszy w kinie zaistniała w 1953 roku w komedii „Sprawa do załatwienia". Pięć lat później Andrzej Wajda powierzył jej rolę Stefki w „Popiele i diamencie". W filmie Wojciecha Hasa „Jak być kochaną" (1962), gdzie partnerował jej Zbyszek Cybulski, stworzyła jedną ze swoich najwybitniejszych kreacji, uznaną również za jedną z największych kreacji w dziejach polskiego filmu. Aktorka występowała również w „Kabarecie Starszych Panów", gdzie dała się poznać jako utalentowana piosenkarka. Trudno nie zapamiętać jej interpretacji piosenek „W czasie deszczu dzieci się nudzą" czy „Przeklnę Cię". Z okazji 60-lecia pracy artystycznej Krafftówna otrzymała Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla kultury polskiej oraz osiągnięcia aktorskie".